

SZCZECIN Z DRESZCZYKIEM KONKURSOWO

Wyniki konkursów
literackiego oraz graficznego



Konkursy “Szczecin z Dreszczykiem literacko” oraz “Szczecin z Dreszczykiem graficznie” odbyły się w ramach projektu “III Szczecińskie Spotkanie z Dreszczykiem”

Autorzy opowiadań alfabetycznie: Gabriela Adamiak, Agnieszka Bułat, Julia Drozdek, Maksym Kardas, Filip Samborski, Radosław Samsel, Emil Zawadzki, Waldemar Ziemięcki

Autorzy grafik alfabetycznie: Adrianna Bielowiec, Adam Ignaczak, Sara Krawcewicz, Nikola Kusiak, Kacper Mikuła, Karolina Osajda, Zofia Trusewicz, Hanna Wolska

Wstęp: Marcel Mroczek

Skład: Agnieszka Szydłowska

Korekta: Wojciech Kuczyński

ISBN: 978-83-960643-2-5

INFORMACJA O LICENCJI:



Creative Commons CC BY-NC-SA 4.0 <https://creativecommons.org/licenses/by-nc-sa/4.0/deed.pl>

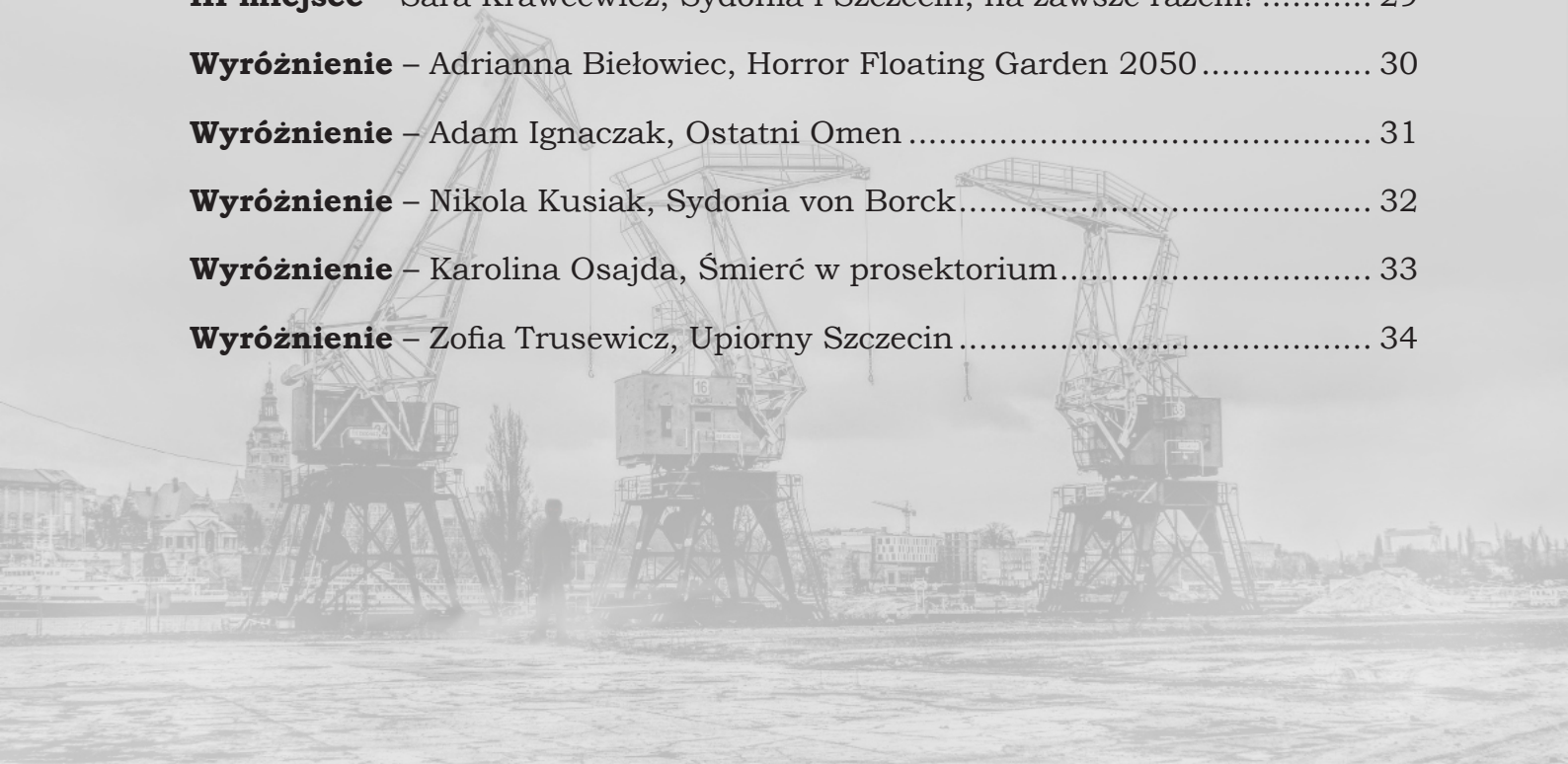


Publikacja jest jednym z efektów projektu „III Szczecińskie Spotkanie z Dreszczykiem”, zrealizowanego przy wsparciu finansowym Miasta Szczecin i składa się z nagrodzonych oraz wyróżnionych prac nadesłanych na konkursy “Szczecin z Dreszczykiem literacko”, a także “Szczecin z Dreszczykiem graficznie”

SZCZECIN 2021

SPIS TREŚCI

Wstęp - Sztuka z dreszczykiem	1
Konkurs Literacki	2
I miejsce – Maksym Kardas, Symfonia grozy	3
I miejsce – Maksym Kardas, Piromanka	5
II miejsce – Gabriela Adamiak, Kolekcjoner	7
III miejsce – Agnieszka Bułat, Zapach czekolady	10
III miejsce – Agnieszka Bułat, Urwany ślad	12
Wyróżnienie - Julia Drozdek, W mroku Szczecina	14
Wyróżnienie - Filip Samborski, W komendzie policji straszy	17
Wyróżnienie - Radosław Samsel, Hobby	19
Wyróżnienie - Emil Zawadzki, Wzgórze Trzygłowa	21
Wyróżnienie - Waldemar Ziemięcki, Wigilia	23
Konkurs Graficzny	26
I miejsce - Hanna Wolska, Dźwigozaury	27
II miejsce – Kacper Mikuła, Żniwiarz bez głowy, Żniwiarz z Jasnych Błoni....	28
III miejsce – Sara Krawcewicz, Sydonia i Szczecin, na zawsze razem!	29
Wyróżnienie – Adrianna Bielowiec, Horror Floating Garden 2050	30
Wyróżnienie – Adam Ignaczak, Ostatni Omen	31
Wyróżnienie – Nikola Kusiak, Sydonia von Borck	32
Wyróżnienie – Karolina Osajda, Śmierć w prosektorium	33
Wyróżnienie – Zofia Trusewicz, Upiorny Szczecin	34



SZTUKA Z DRESZCZYKIEM

Będąc już po raz drugi jurorem w organizowanym przez Stowarzyszenie Chowaniec konkursie, z przyjemnością zauważyłem progres wśród przysyłanych prac konkursowych. I nie chodzi tu tylko o ich ilość, ale również jakość. Z przyjemnością czyta się i ogląda prace osób, które rzeczywiście poszukują w historii i miejscach Szczecina elementów thrillerowych, horrorowych czy kryminalnych. Tegoroczna edycja konkursów (zarówno graficznego, jak i literackiego) udowodniła, że „dla chcącego nic trudnego”. Wystarczy tylko chwilę przysiąść nad książką czy Internetem i od razu pojawiają nam się niezmiernie materiały do inspiracji. W pracach literackich widoczny był progres tematyczny – autorzy opowiadań nie tylko badali i odsłaniali przed nami „dreszczykowość” współczesnego Szczecina, ale również zagłębiali się w historyczne fundamenty naszego miasta. Możemy więc przeczytać nie tylko o Sydonii von Borck, ale również o słowiańskiej przeszłości grodu Gryfa czy historiach rodem z PRL. Forma opowiadań też się zmienia – autorzy i autorki starają się w różny sposób podejść do „przestraszenia” czytelnika, czy to sięgając po narrację pierwszoosobową, czy opowieść epistolarną. Wszystko w wykreowanych przez nich fabułach ma spowodować pojawienie się w nas tytułowego „dreszczyku”, co wielu się udało.

Prace graficzne, których tematyka również jest bardzo rozległa, zachwycają swoją pomysłowością. Jury tej części konkursu skupiło się nie tylko na docenieniu tematyki, ale również sposobu jego przedstawienia i ilości włożonej pracy. Z jednej strony niełatwo jest uchwycić moment przeobrażenia miasta w obietnicę tajemnicy i horroru, z drugiej samodzielne przeobrażenie pewnych miejsc czy elementów przestrzeni wymaga od artysty czy artystki nie lada wysiłku. Prace graficzne udowodniły, że Szczecin to nie tylko Rzeźnik z Niebuszewa czy w/w ostatnia czarownica Pomorza. To także zakątki czy zaułki miejskiej przestrzeni, które – miłe dla oka w świetle dziennym – nocą stają się scenografią nie-wiadomego i niebezpiecznego. Dziękujemy wszystkim artystom i artystkom za te nowe odsłony perły Pomorza Zachodniego.

Szanowny Czytelniku i Czytelniczko, pozwólcie zabrać się w świat, gdzie wyobraźnia stara się spłatać nam figła, zabiera nas w mroczne odsłony umysłu i gdzie ożywają cienie miasta. Poniższe zbiory prac nagrodzonych są dowodem na to, że nasze miasto, mimo że bywa groźne, może nadal pozostawać piękne i inspirujące.

Marcel Mroczek
Juror

KONKURS LITERACKI



Fot. Agnieszka Klejba

III SZCZECIŃSKIE SPOTKANIE Z DRESZCZYKIEM

SYMFONIA GROZY

MAKSYM KARDAS, I MIEJSCE

Stary Mercedes zaparkował przed główną bramą Bazyliki św. Jakuba.

Po wysokości księżyca rzucającego złowrogie światło na wysoką wieżę świątyni dało się wnioskować, że jest około godziny pierwszej w nocy, a dookoła nie było ani żywej duszy. To samo wskazywały też zmęczone, pogrążone jeszcze w półśnie oczy kierowcy. Wsiadłszy z auta poprawił w biegu swoje siwe włosy i czym prędzej zniknął za strzelistym portalem, który tym razem wydawał się dziwnie posępny.

Po chwili znalazł się w głównej nawie świątyni, a przed nim rozpościerał się dobrze mu znany obraz: las ośmiobocznych filarów, ostrołukowe okna oraz przyglądające mu się z każdej strony boczne kaplice. Znał te zakamarki jak własną kieszeń, w końcu nie raz pracował przy ich konserwacji. Pośrodku tego wszystkiego, na schodach potężnego prezbiterium, stał wystraszony proboszcz.

- Jak dobrze, że Pan przyjechał! - wykrzyczał, podchodząc do profesora Wybrańskiego.

Poglądziwszy się po gestym wasie starzec zapytał o powód tak późnego wezwania, na co ksiądz poprawił swoje grube okulary i rzekł: „To znowu się dzieje!”. Wąsaty zaczął tłumaczyć, że od kiedy odnaleziona urna z sercem Carla Loewego została z powrotem wmurowana w filar przy organach, mogły one w wyniku prac się roztrócić, dlatego mogą samoistnie wydobywać dziwne dźwięki. Duchowny jednak uważał, że naruszenie urny zakłóciło spokój zmarłego, którego dusza gra na instrumencie, rozgniewana zastąpieniem jego ukochanych zabytkowych organów nowszym modelem.

Niespodziewanie przestrzeń przeszła upiorna symfonia. Profesor przeknął ślinę, rozkazał duchownemu zostać na miejscu, a sam udał się na górę w celu sprawdzenia, czy aby na pewno są sami. Z każdym pokonanym stopniem muzyka stawała się coraz bardziej złowieszcza, jakby rozbrzmiewające nuty były słowami jakiejś bluźnierczej inkantacji. Czuł lodowate ciarki na plecach, a bijące serce coraz szybciej wyrывało się z piersi.

Profesor w końcu dotarł do drzwi, za którymi znajdowało się miejsce organisty. Bił się ze sobą w myślach, czy powinien tam wchodzić, lecz z rozmyślań wyciągnął go wrzask

prerażonego kapłana. Złapał za klamkę i wszedł do środka, a zastany widok niemal pomieszał mu zmysły. Oto bokiem do niego, za klawiaturą organów, siedział dobrze mu znany z monografii Carl Loewe, wygrywający potępińczą melodię. Był ubrany w elegancki strój z epoki, lecz jego twarz była zgniła jak u trupa, a oczodoły wypełniała ziejąca grozą nicość. Okrzyk przerażenia kanonika nasilił się, kiedy głowa widma obróciła się o 180 stopni w jego kierunku, uważnie mu się przyglądając. Było to dla niego za dużo i w stanie nieopisanego szaleństwa padł na posadzkę, a następnie wydrapał sobie oczy. Wtedy niewidzialna siła uniosła go wysoko w powietrze i cisnęła nim z taką siłą, że nieszczęśnik wyleciał przez witraż na zewnątrz. Całej tej grozie przyglądała się spokojnie umieszczona na drugim końcu kościoła figurka Matki Boskiej Apokaliptycznej.

Profesor pognał ile sił, chcąc uniknąć tego samego losu. W trakcie zbiegania po schodach w dół poślizgnął się i upadł tak niefortunnie, że kość jego prawego przedramienia przebiła skórę. Zawył głośno z bólu, ale do ucieczki ponaglił go niehumaniczny ryk, przypominający zarzynaną świnię. Wybiegł błyskawicznie z budowli, mijając krwawą miazgę, jaka została na bruku po kapłanie. Wpadł do auta, uruchomił silnik i docisnął pedał gazu do oporu. Jak wielkie było jego zdziwienie, gdy spostrzegł, że nie ruszył się o metr. Było tak, ponieważ pod kołami jego wozu rozpościerała się paraliżująca pustka, z której zerkwały na niego wielkie pary żółtych oczu. Miał wrażenie, że próbują wejść mu do głowy i szepczą coś w niezrozumiałym dla niego języku. W końcu spojrzał w lusterko nad głową, odbijające upiora z katedry na tylnym siedzeniu. Truchło kompozytora otworzyło nienaturalnie szeroko usta, odsłaniając rzędy wielkich, ostrych jak żyłki zębów, z pewnością zadających ból ich właścicielowi.

„Zbaw nas ode złego.” - wyszeptał profesor.

PIROMANKA

MAKSYM KARDAS, I MIEJSCE

„Ruchy ofermol!” - krzyknął jeden z kucharzy do wystraszonej dziewczyny w fartuchu. Lawirowała między piekarnikami, podając garnki i przyprawy, ale wszystko jej się myliło i wylatywało z rąk. Każdy był na nią zły, a jej zdenerwowanie rosło z każdą chwilą. W końcu, kiedy stek smażący się obok niej stanął w płomieniach, tęgi wąsaty mężczyzna o dłoniach wielkich niczym bochny chleba chwycił ją za ramię i wywłókł na zaplecze kuchni.

- Znowu nam odstawiasz cyrki Krystyna! - huknął olbrzym.
- Ale ja się staram panie szefie, tylko... - łzy napływały jej do oczu.
- Milcz gówniaro! - krople jego śliny kapnęły jej na twarz.

Pouczył ją, że ma teraz ochłonać i wrócić do pracy, oraz że jeśli się nie poprawi, to zostanie wyrzucona z praktyk.

Kiedy otyły kat wrócił z powrotem do kuchni, drobna ciemnowłosa istotka udała się do szatni po schowaną w szafce paczkę „Klubowych” i wyszła na zewnątrz budynku. Wysoko nad jej głową błyszczał kolorowy neonowy napis: „Kaskada. Restauracja, kawiarnia, dancing”. Próbowwała zapalić papierosa, lecz zapalniczka odmawiała posłuszeństwa, a dłonie się trzęsły. Po chwili zauważyła kątem oka eleganckiego dżentelmena prowadzącego pod rękę sztywnie ubraną damę, zmierzających w stronę głównego wejścia, przy którym stała dziewczyna. Zapytała o ogień z ćmikiem w ustach, lecz usłyszała tylko, że ma spieprzać. Jakby tego było mało, tuż po tym nieznajomy wyjął zapalki i zapalił cygaretkę, trzymaną we wściekle czerwonych wargach jego towarzyszki. Jakże Krystynie poprawił się humor, gdy w tej samej chwili temu gburowi zapłonął rękaw od garnituru. Machał ręką na wszystkie strony, aż rzucił marynarkę na ziemię i kilka razy przydeptał płomyk. Nacieszywszy oczy tym teatrykiem spojrzała na zegarek, który wskazywał wpół do ósmej. Restauracja zaraz miała się otworzyć, więc postanowiła wracać.

Aby zaoszczędzić czas, weszła przez wielkie drzwi z napisem „Kapitańska” i szybkim krokiem przemierzyła główną salę restauracji. Była ona cała w niebieskim kolorze, z powywieszanymi tu i ówdzie marynarskimi ozdobami, takimi jak koło sterowe, które zerwała już pierwszego dnia pracy. Po całej sali krzątali się młodzieńcy z obsługi ubrani

w stylizowane, oficerskie mundury. Krysia знаła ich wszystkich, ale na rozmowie z jednym zależało jej najbardziej. Podeszła do wysokiego blondyna o uwydatnionej szczęce, który właśnie rozkładał menu.

- Kiedy przyszedłeś? - Zaczęła rozmowę.
- Dosłownie przed chwilą. - Odpowiedział, nie przerywając zajęcia.
- Przepraszam, że ci przeszkadzam Kuba, ale musimy pogadać. - Ciągnęła dalej.

Młodzian stwierdził, że nie ma teraz czasu, i mogą porozmawiać po pracy. Dziewczyna szła w zaparte mówiąc, że to bardzo ważne i dotyczy ich obojga. Chłopak w tym momencie odwrócił się do niej i wlepił w nią wzrok. „Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że jesteś ze mną w...” - wykrztusił, ale ona pokiwała twierdząco głową. Chłopak powiedział jej tylko, że wróć do tego później i zniknął gdzieś w oddali.

Następne pół godziny minęło jej tak samo, jak wcześniej - na nieumyślnym utrudnianiu pracy innym. Kucharze bezustannie na nią krzyczeli, a emocje, które w sobie dusiła, wezbrały już do tego stopnia, że postanowiła wypłakać się w składziku na miotły. Po otwarciu go i zapaleniu światła ujrzała Kubę, dobierającego się do jednej z młodszych kucharek. W jednej chwili jej serce pękło. Przecież obiecywał, że ją kocha, a ona zgodziła się oddać mu to, co miała najcenniejsze - swoją niewinność. Para kochanków nie dostrzegła nawet jej obecności, zbyt zajęta eksploracją swoich ciał. Krystyna obserwowała ich z żądzą mordy w oczach, aż podpałiła oboje swoim zabójczym spojrzeniem. Wili się z bólu i błagali o pomoc, a ona delectowała się swą skwierczącą skórą i włosów. Błyskawicznie zleciała się reszta personelu, lecz i oni od razu zajęli się ogniem, kiedy piromanka skupiła się na nich swoją uwagę. Złość, którą tłumiała, w końcu eksplodowała na całą „Kapitańską”, a pożar szybko przeszedł na resztę kompleksu.

KOLEKCJONER

GABRIELA ADAMIAK, II MIEJSCE

PIERWSZY STYCZNIA

Benjamin Arnold Kos maszerował szybkim krokiem wzdłuż kamienic szczecińskiej Wenecji, przyciskając do piersi wytarty, skórzany neser. Jego wysokie buty dudniły głośno i rytmicznie na wyludnionej ulicy, a lodowaty wiatr wdzierał się nachalnie pod poły długiego płaszcza.

Opuszczone budynki z czerwonej cegły, oświetlane jedynie skąpo rozstawionymi lampami, zdawały się chylić złowrogo ku mężczyźnie, który wciąż dopatrywał się w rzucanych przez nie nieregularnych cieniach ukrytych obserwatorów. Im bliżej był domu, tym częściej rzucał dokoła nerwowe spojrzenia i mimo świadomości jak bardzo jest to irracjonalne, od dwudziestu siedmiu dni nieustannie czuł się obserwowany. Przyspieszył.

DWADZIEŚCIA SIEDEM DNI WCZEŚNIEJ, PIĄTY GRUDNIA

Benjamin Arnold Kos siedział przy szpitalnym łóżku, ściskając małą i wychudzoną rękę swojej córeczki między dłońmi. Po godzinach badań w końcu był z nią sam na sam. W ciszy i mroku małego pokoju na końcu korytarza, patrząc na śpiącą twarz dziewczynki i wsłuchując się w jej równy oddech, nie musiał już udawać, że wszystko będzie dobrze. Nie musiał już stać ze sztucznym uśmiechem i szeptać jej słowa otuchy, jednocześnie myśląc tylko o jednym. Guz stale rośnie.

Mężczyzna wsunął rękę pod łóżko i wyciągnął spod niego czerwony karton. Rower, na którym nigdy nie miało jej być dane się przejechać. Prezent na szóstego grudnia, który miał być ostatnim prezentem w jej życiu.

Po policzku spłynęła mu pierwsza łza. Za pierwszą druga, a za drugą kolejna. Po nich cały strumień. Oparł głowę o ścianę i trzęsąc się, zapadł w sen.

Zobaczył mężczyznę. Wysokiego, szczupłego, z uśmiechem na twarzy. Szczerym uśmiechem. Nie tym, który towarzyszył mu przez ostatnie miesiące. Stał, patrząc mu

w oczy. Ze zrozumieniem.

- Dusza za duszę – powiedział. – Jej życie za twoje – nieznajomy zniżył głos.
- Zawsze – odszepnął Kos.

Wysoki mężczyzna sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął z niej flakonik. Ciemny, nieduży. Wsunął mu go do ręki i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Kiedyś wrócę po swoją zapłatę – rzekł i wtedy wizja się rozmyła.

Kos obudził się zlany potem, dysząc ciężko. Otarł rękawem mokre czoło i rozejrzał się dookoła. Wciąż było ciemno. I właśnie wtedy dotarło do niego, że trzyma coś w dłoni. Spojrzał w dół i zacisnął trzęsące się palce na zimnym szkłe flakoniku. Wsunął go do wytartego, skórzanego neseseru i przesiedział resztę nocy, opierając się o sterylne białą ścianę, oddychając głęboko.

Następnego dnia, po kolejnych godzinach badań, w drzwiach stanął lekarz.

- Panie Kos – szepnął. – Guz zniknął.

PIERWSZY STYCZNIA

Benjamin Arnold Kos minął kolejny ceglany budynek i skręcił za róg, wycierając nerwowo przeпоcone dłonie. Panika coraz bardziej zżerała go od środka, a umysł stanowczo odmawiał racjonalnego myślenia, więc mimo narastających obaw, postanowił obrać krótszą drogę między kamienicami. Oparł się o mur i wpatrując się w mrok przed sobą, wziął głęboki oddech.

Otarł pot z czoła i odsuwając od siebie wszystkie nieuzasadnione wątpliwości, wbiegł w ciemny zaułek.

Biegając ile sił w nogach, Kos potknął się i stracił grunt pod stopami. Z grymasem bólu na twarzy podniósł się na łokciach i sięgnął po przedmiot, o który się przewrócił. Poczuvszy pod palcami zimne szkło flakoniku, zamarł. Podniósł wzrok.

Wysoki szczupły mężczyzna z uśmiechem na twarzy stał w cieniu, przypatrując mu się uważnie. Kos poczuł nagle ukłucie w sercu, które nasilało się z każdą kolejną sekundą, przyćmiewając zmysły i zapierając dech. Ostatkiem sił spojrzał na niewzruszone oblicze znajomego z niemym żalem i legł bezwładnie na mokrej ziemi. Przez krótką chwilę widział

szczęśliwą twarz swojej córki, a potem była już tylko ciemność.

Wysoki mężczyzna ukucnął powoli i podniósł leżący przy głowie zmarłego flakonik z duszą Kosa. Zaśmiał się cierpko i nieśpiesznie opuścił uliczkę.

– Kolekcjonuję – szepnął do siebie. – po prostu kolekcjonuję...

Tymczasem na szczecińskie ulice spadły pierwsze płatki noworocznego śniegu.

ZAPACH CZEKOLADY

AGNIESZKA BUŁAT, III MIEJSCE

Kiedy Marlena wysiadła z pociągu, od razu uderzył ją specyficzny zapach miasta. Była tu już kilka razy, ale wcześniej stolica Pomorza Zachodniego pachniała normalnie - rzeką, spalinami, rozgrzanym betonem. Wiosną nawet magnoliami! Teraz jednak w powietrzu wisiało coś innego. Coś, co wdierało się przez nozdrza, oblepiało gardło i podniebienie, zostawiając na języku gorzki posmak. Dziewczyna ze zdumieniem stwierdziła, że niemal zbiera jej się na wymioty.

- To tylko czekolada - powiedział Marek, kiedy go o to zapytała. - Nie słyszałaś? W końcu Szczecin to miasto pachnące czekoladą. - Choć pytanie Marleny było zwyczajne, wydawało jej się, że słyszy rozdrażnienie w głosie chłopaka. Zupełnie, jakby świadomość istnienia fabryki słodczy w tym mieście należała do jej podstawowych obowiązków.

Marek poderwał jej bagaż i ruszył w kierunku parkingu. Szedł szybko, niemal drapieżnie - Marlena pierwszy raz widziała go poruszającego się w taki sposób.

Kiedy walizki wylądowały w bagażniku, wepchnięte tam nieco zbyt gwałtownie, wsiedli do samochodu. Nie zdążyli jeszcze na dobre włączyć się do ruchu, kiedy samochodem nagle szarpnęło; gdyby nie zapięte pasy, Marlena skończyłaby z rozbitym czołem. Szybko wciągnęła powietrze, czując jak niepokojący zapach wdiera jej się do nosa ze zdwojoną siłą.

Marek zawył z wściekłości, jednocześnie waląc pięścią w klakson. Ryknął, przeklinając kierowcę przed nimi i nie przestawał krzyczeć, charcząc i plując.

Zanim Marlena otrząsnęła się z szoku, zobaczyła że auto przed nimi, to które wymusiło ich ostre hamowanie, całkowicie się zatrzymuje. Drzwi kierowcy uchyliły się i z pojazdu wysiadł mężczyzna. Gdyby dziewczyna zobaczyła go w innych okolicznościach, pomyślałaby że to jakiś urzędnik albo księgowy - schludnie ubrany, łysiejący i w okularach. Teraz jednak twarz wykrzywił mu grymas wściekłości, a w jego ręku coś połyskiwało. Marlena z przerażeniem uświadomiła sobie, że to wielki i ciężki klucz do opon - tuż na ułamek sekundy przed tym, jak przedmiot opadł na szybę ich samochodu, powodując siatkę pęknięć.

Marek wyskoczył z samochodu niczym pantera i z równą zajadłością zaatakował mężczyznę z kluczem. Marlena widziała przez boczną szybę, jak jej chłopak otrzymał cios metalowym prętem prosto w żebra, jednak zamiast paść na ziemię, skrzywił się tylko nieznacznie. Chwycił łysiejącego mężczyznę w okularach za kołnierz i przeciskając się między pojazdami, zaczął ciągnąć go w kierunku Odry.

Dziewczyna wysiadła z samochodu, zamierzając rozdzielić mężczyzn. Jednak kiedy tylko stanęła na jezdni, zorientowała się, że wokół panuje istny chaos.

Marek i mężczyzna z kluczem nie byli jedynymi walczącymi postaciami. Na ulicy kotłowały się dziesiątki osób. Ktoś uderzał głową kierowcy citroena o deskę rozdzielczą - z twarzy ofiary została jedynie krwawa miazga. Parę osób wdrapało się na most kolejowy w pogoni za młodą kobietą, którą po chwili dogonili i zepchnęli na betonowe zapory w dole. Jej głowa wybuchła feerią czerwieni i zniknęła.

Zapach przybrał na sile. Marlena zaczęła czuć, jak obrzydliwy posmak wdziera się w głąb jej głowy, niemal ją rozrywając.

Nagle od strony miasta doszedł potężny huk, którego poza Marleną nikt zdawał się nie słyszeć. Zaraz po nim nastąpił wrzask - wiele wrzasków - setki, które wybrzmiewały coraz głośniejsze. Zupełnie jakby wszyscy mieszkańcy Szczecina porzucili swoje obowiązki i wylegli na ulice, zwierając się w żądną krwi horde, doprowadzoną do obłędu przez zapach unoszący się w powietrzu.

Marlena obejrzała się przez ramię. Nie odjechali daleko od dworca, a teraz dzieliło ją od niego zaledwie kilkanaście walczących osób. Wcześniej było ich więcej, ale część już nie żyła. Może uda jej się dotrzeć na peron i wsiąść w ostatni odjeżdżający pociąg, zanim miasto pograży się bez reszty w szaleństwo?

Dziewczyna nie wiedziała, że z miasta nie wyjedzie już żaden pociąg. Ani że w chwili, w której dostrzegła błysk klucza od opon, Szczecin zupełnie przestał istnieć.

URWANY ŚLAD

AGNIESZKA BUŁAT, III MIEJSCE

Kiedy zobaczyłem na portalu ogłoszeniowym ten motocykl, od razu wiedziałem, że jest to cacko, które pieczołowicie dwa lata temu stworzyłem praktycznie od podstaw. Maszyna miała teraz inne malowanie oraz szereg dodatkowych części, jednak po detalach i przeróbkach, które może rozpoznać tylko prawdziwy fan motoryzacji, byłem na sto procent pewny. Poczułem lekkie ukłucie zazdrości, doceniając wysokie kwalifikacje mechanika, który ją zmodyfikował. Żałowałem, ale z powodu wyjazdu związanego z pracą w jednym z południowych krajów musiałem ją sprzedać. Ale tak, to na pewno ta, nie mogłem się mylić.

Miłość do motocykli zaszczerpił mi mój ojciec, inżynier Polmo, który w latach 60. ubiegłego wieku był jednym z głównych konstruktorów słynnego Junaka. Niestety, pasja to jedyna rzecz, która mi po nim pozostała, po tym jak w 1982 roku, podczas stanu wojennego zaginął, żeglując po Jeziorze Dąbskim. Rodzinna legenda głosi, że być może popłynął na Zalew lub jeszcze dalej. Faktem jest, że nigdy nie odnaleziono ciała. Na rejs zabrał ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy i nic nie wskazywało na to, że zamierzał opuścić kraj mniej lub bardziej legalnie. Nigdy nie dał znaku życia i ostatecznie został uznany za zmarłego. Mama przeprowadziła się na drugi koniec Polski, a rodzeństwo rozpiezchło po świecie, także ze Szczecinem niewiele mnie już łączyło.

Kolejne dni mijały mi na załatwianiu spraw, które mnie tu przywiodły, aby ostatecznie zakończyć etap życia w moim – niegdyś ukochanym – mieście. Próby nawiązania kontaktu z kumplami spełzły na niczym. Kilku wyjechało - podobnie jak ja wkrótce - a największy zawadiaka poinformował mnie przez telefon, że żona urodziła właśnie ich drugie dziecko i że kiedyś koniecznie musimy się spotkać. Nacisk na kiedyś był aż nadto wyraźny i wskazywał, że raczej nie nastąpi to w tym dziesięcioleciu.

W hotelu, nie mając nic lepszego do roboty, po raz kolejny wszedłem na aukcję z motocyklem i stwierdziłem, że nic się nie zmieniło poza liczbą odwiedzin strony, która obecnie wskazywała dwa. Wyglądało na to, że tylko ja tam zaglądałem.

Następnego dnia przypadła rocznica zaginięcia ojca, więc odwiedziłem kwaterę „Tym, którzy nie powrócili z morza” na Cmentarzu Centralnym. Trochę na wyrost, bo zaginął

w sumie na jeziorze, ale kto wie jak było naprawdę?

W pobliżu cmentarza usytuowany był kompleks garaży, w którym sprzedałem swój motocykl. Spostrzegłem, że drzwi tego, gdzie dokonałem transakcji, są uchylone i mimowolnie podszedłem, żeby zagadnąć o losy maszyny. Zapukałem i zdziwiłem się, gdy ze środka wyszedł facet mniej więcej w moim wieku, zamiast spodziewanego dwudziestokilkulatka o intensywnie rudych włosach. „Paskudna sprawa”, powiedział, gdy wyjaśniłem cel mojej wizyty. Rudzielec jechał przepisowo, ale jakiś gnój zajechał mu drogę kradzionym samochodem. Z młodego nie było czego zbierać, chociaż motocykl aż tak bardzo nie ucierpiał.

Sprawa nie dawała mi spokoju i wieczorem po raz kolejny odwiedziłem aukcję. Wiedziony impulsem i ciekawością, usiłowałem się dodzwonić pod podany numer, jednak bezskutecznie. Napisałem więc krótkie zapytanie o to, kto sprzedaje i jakie są modyfikacje maszyny.

Niezmiernie mnie zdziwiło, gdy odpowiedź wraz z adresem nadeszła w przeciągu kilku minut. „A niech tam, jadę!”, pomyślałem, nie mając innych planów.

Garaż w okolicy papierni Skolwin wyglądał tak, jakby jeszcze niedawno parkowały w nim hitlerowskie Sahary. Wchodząc, zauważyłem dwóch mężczyzn. Starszy z nich, ubrany w długi staromodny fartuch roboczy i maskę, zajęty był spawaniem, a młodszy, prezentujący się bardziej współcześnie, grzebał przy stole w rogu pomieszczenia. Spawacz ruchem ręki wskazał mi miejsce i posłał w przestrzeń jeszcze trochę iskier. Nie zdążyłem nawet dobrze się rozejrzeć, gdy nagle odwrócił się do mnie i wolnym ruchem zdjął przyłbicę.

Nie wyjeżdżaj z tego miasta, synku...

Osuwając się na ziemię, kątem oka spostrzegłem kosmyk krwistoczerwonych włosów wymykający się spod bejsbolówki pomocnika...

W MROKU SZCZECINA

JULIA DROZDEK, WYRÓŻNIENIE

Głucha ciemność.

Chłodny powiew wiatru.

Drżący oddech zmieszany z ciężkimi odgłosami kroków.

Marek S. kroczył wzdłuż ulicy Wyszyńskiego, coraz szybciej i szybciej. Nerwowo rozglądał się na boki, a jego dłonie drżały niemiłosiernie. Głowa była pełna myśli, a wspomnienia sprzed kilkadziesiąt minut nie dawały się zagłuszyć. Czuł swąd własnego potu, którego kropelki powoli spływały po ciele. Oczy były rozbiegane, jakby szukał czyhającego na niego niebezpieczeństwa. Bo ono było, było pod nosem, wystarczyło tylko spojrzeć w lustro.

Czym prędzej skręcił w uliczkę między budynkami, gdzie nie docierały światła z ulicy. Nikt również nie mógł dostrzec jego zakrwawionych ubrań oraz dłoni, które tylko prowizorycznie przemył w jakiejś kałuży. Przysiadł na środku chodnika i zaczął się wpatrywać w pustkę. Nagle zaczął się śmiać, ale tak zimno, tak diabolicznie.

- Proszę pana, wszystko w porządku?

Uniósł głowę, a jego wzrok spoczął na przybyszu. Był to mężczyzna, mający nie więcej niż trzydzieści lat. Dość wysoki, jednak z lekką nadwagą. Blond włosy wybijały się na ciemnym tle, a pojedyncze ich kosmyki rozwiewał wiatr. Mocniej owinał szal wokół szyi, podchodząc coraz bliżej do Marka S.

A on jednak ani drgnął. Patrzył na blondyna, zwracając uwagę na każdy detal. Prawdopodobnie był w barze. Pachniało od niego tanim piwem, a jego oczy były zaszkłone od alkoholu. Możliwe, że pokłócił się z żoną, ponieważ na serdecznym palcu odbity został ślad obrączki. Jednak nie był złym człowiekiem. Jego ruchy były przyjazne oraz ufne. Z twarzy biła troska, gdy podchodził do Marka S.

Wyraz jego twarzy pozostał niezmienny. Gdy zaczął wstawać, lodowato niebieskie

oczy bacznie obserwowały jasnowłosego. Stanęli naprzeciw siebie. Blondyn był nieco niższy, ale odważnie stał wyprostowany.

- Jest pan strasznie błądy. Zadzwoń po pogotowie? – pytał przybysz, jednak wciąż nie uzyskał odpowiedzi.

Marek S. zmniejszył odległość. Drgnął, gdy mocniej poczuł jego alkoholowy oddech. Pomyślał „A może zostawić go w spokoju?”. Wtedy uświadomił sobie, jak wyglądał. Cały zakrwawiony. Znowu powróciły wspomnienia.

Siekiera ukradziona z działki na Wyspie Grodzkiej.

Kobieta, która była tylko zarazą dla wszystkich.

Uderzenia i rozbryzgana krew dookoła.

Jej ciało wpadające do Odry.

Blondyn mógł wiedzieć zbyt dużo.

- Wiedza jest klątwą – zaczął Marek S. – Im więcej wiesz, tym jesteś bardziej doceniany. Jednak jest i druga strona medalu – charczał, chowając dłoń do kieszeni kurtki. Pod opuszkami palców poczuł ostrze. – Razem z wiedzą zyskujesz wrogów. Gdy wiesz mniej, nikt nie widzi w tobie zagrożenia. Możesz być Napoleonem.

Zapanowała cisza. Minęło pierwsze dziesięć sekund. Drugie. Trzecie. Blondyn zaczął się denerwować. Jego grdyka zaczęła poruszać się niespokojnie. I gdy na twarzy Marka S. pojawił się diabelski uśmiech, uświadomił sobie, że był w niebezpieczeństwie.

- A ja chcę być Napoleonem – odpowiedział głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji.

Po czym w ułamek sekundy wyciągnął z kieszeni nóż myśliwski i rzucił nim niczym lotką. Dzięki wyćwiczonej precyzji oraz znajomości anatomii człowieka nóż wbił się dokładnie w tętnicę szyjną mężczyzny. Marek doskoczył do blondyna i pociągnął za ostrze, rozcinając jego szyję.

Cichy okrzyk zdążył wyrwać się z gardła ofiary, jednak równie szybko zamilkł. Opadł na ziemię z głuchym odgłosem. Pojedyncze łzy wypływały z jego oczu, których nie spuszczał z twarzy swojego mordercy. Ale nie bał się już niczego. Po prostu konał w chłodzie,

w bocznej ulicy Szczecina, pod gołym niebem nocy. Nie czuł nic, w przeciwieństwie do swojego oprawcy.

Gdy tylko mężczyzna zamknął oczy, Marek S. zaczął wątpić w swoją decyzję. Niepewność pochłonęła jego umysł i ciało. Czując zapach świeżej krwi, żółć podeszła mu do gardła. Bezwiednie opadł obok ciała swojej drugiej ofiary. Spojrzał na rodzinne miasto, skupiając wzrok na światłach wydobywających się z Bulwarów Szczecińskich.

I spoczywając tuż obok martwego blondyna zaczął wątpić, czy naprawdę był Napoleonem...

W KOMENDZIE POLICJI STRASZY

FILIP SAMBORSKI, WYRÓŻNIENIE

Jakiś czas temu byłem z kolegą w barze. Przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch umundurowanych policjantów. Początkowo nie zwracałem na nich uwagi. W pewnym momencie dosłyszałem, jak jeden z nich powiedział, iż w Komendzie Wojewódzkiej Policji straszy. Ponieważ mój ojciec również tam pracował, zacząłem się przysłuchiwać. Policjant mówił, że ktoś chodzi nocą po komendzie. Nigdy nikt nikogo jednak nie widział, jedynie słyszał.

Wieczorem w domu zapytałem ojca, czy coś wie na ten temat.

Oto co mi opowiedział:

“Przez kilka lat pracowałem w gmachu Komendy Wojewódzkiej Policji w Szczecinie przy ul. Małopolskiej. Kiedy zaczynałem tam pracę, kilka osób pracujących na portierni mówiło, że po budynku w godzinach nocnych ktoś chodzi. Najczęściej kroki słychać było na pierwszym piętrze, w rejonie gabinetów komendanta i jego zastępców. Dźwięki dochodziły do uszu portierów, policjantów ochraniających komendę i tych, którzy miewali służbę w godzinach nocnych.

Nie za bardzo wierzyłem w te opowieści. Aż do pewnego czasu...

Podczas wakacji pełniłem służbę w nocy, z soboty na niedzielę. Z powodu okresu urlopowego pełniłem ją sam. Po godzinie 22:00 zamknąłem drzwi wejściowe oraz zgasilem prawie wszystkie światła. W budynku były w tym czasie tylko dwie inne osoby (przebywające cały czas w pomieszczeniach, w których pełniły dyżur) oraz kilku policjantów w odizolowanej części, gdzie przebywały też osoby zatrzymane, a do której wchodzi się tylko z dziedzińca.

Tuż po północy poszedłem do toalety znajdującej się w łączniku pomiędzy holem głównym, a wejściem na dziedziniec wewnętrzny. A że toaleta posiada wspólną ścianę z szybem windy, usłyszałem, że winda ruszyła i przemieszcza się w dół. Zdziwiło mnie to, ale pomyślałem, że któraś z dyżurujących osób czegoś potrzebuje. Po kilkunastu sekundach winda stanęła na parterze. Dosłyszałem dźwięk głośnych kroków

zmierzających w kierunku wyjścia na dziedziniec. Pomyślałem, że idąca osoba musi mieć ciężkie buty, co mnie jeszcze bardziej zdziwiło, ponieważ policyjne "robocze" obuwie jest na miękkiej gumie.

Szybko wyszedłem na korytarz łącznika i zdążyłem zauważyć domykające się drzwi. Przez chwilę słyszałem też kroki kogoś wchodzącego na dziedziniec, po czym wszystko ucichło.

Czym prędzej udałem się w to miejsce, by sprawdzić, kto przemieszczał się po budynku. Mimo obejścia dziedzińca nikogo tam nie zauważyłem. Na pewno też nikt nie otwierał żadnych drzwi, gdyż wszystkie hałasują i wydają charakterystyczne odgłosy, a przecież nic nie słyszałem... Jak zatem było możliwe, by drzwi się zamknęły bez wydawania jakiegokolwiek szmeru? Po powrocie na dyżurkę zadzwoniłem do pomieszczeń, w których pełnione były dyżury. Telefony zostały natychmiast odebrane. Wszyscy byli na swoich miejscach. „Dziwne” – pomyślałem...

Rano o wszystkim opowiedziałem zmiennikowi, który - wbrew mojemu myśleniu - nie okazał zdziwienia. Stwierdził, że kiedyś w nocy słyszał kogoś chodzącego w ciężkich butach w gabinecie zastępcy komendanta, który znajduje się od strony dziedzińca. Jest pewien, że nie powinno tam wtedy nikogo być.

Nikt nie wie, kto chodził – i podobno nadal chodzi - nocami po budynku KWP Szczecin. Na pewno zginęło w nim wielu ludzi. Przecież w czasach hitlerowskich mieściło się w nim między innymi gestapo, a po wojnie - UB. Całe tylne skrzydło było kiedyś aresztem, a za nim znajdował się niewielki dziedziniec, na którym rozstrzeliwano więźniów. Przy zamurowanej od dawna bramie zginęli też protestujący w 1970 roku. Może któraś dusza nie może zaznać spokoju i błąka się po budynku? Wiele osób zatrudnionych w przeszłości oraz obecnie w Komendzie w to wierzy”.

Tu ojciec skończył - nie dodał ani słowa. Wyszedł z mojego pokoju i zamknął za sobą drzwi, które... nie skrzypnęły jak zwykle - głośno, przeciągle i smutno. Dlaczego tym razem - po raz pierwszy - nie skrzypnęły?

HOBBY

RADOSŁAW SAMSEL, WYRÓŻNIENIE

Gdy dotarłem do skraju najwyższej skarpy, jaką matka natura uformowała nad zapierającym dech w piersiach Jeziołem Szmaragdowym, dopiero zrozumiałem, do jakiej desperacji może doprowadzić człowieka nuda. Nie wiem, która była godzina - wiem jedynie, że słońce już jakiś czas temu zażegnało horyzont, pozostawiając świat w bezkresnej ciemności. Stałem tak próbując ocenić, jakiej wysokości jest piaskowa ściana, po której zamierzam zejść. Przestałem jednak, gdy dostrzegłem, że w mojej głowie rodzą się coraz to nowe obawy, próbujące powstrzymać to szaleństwo. Wyjąłem więc linę z plecaka i obwiązałem nią najbliższe skarpy drzewo.

- Podwójna ósemka, co ja bym bez ciebie zrobił...

Przywiązałem drugą końcówkę liny do ramion mojego plecaka i ostrożnie spuściłem go w głąb mrocznej czerni. Gdy poczułem, że mój bagaż przestał mi ciążyć, sam złapałem za linę i powoli zacząłem podążać jego śladem.

Z początku było spokojnie, jednak po około piątym metrze coś niespotykanego przykuło moją uwagę. Były to dość wyraźnie odczuwalne drgania liny, których źródło znajdowało się pode mną. W ciemności nie dostrzegałem jej końcówki, lecz oczami wyobraźni zobaczyłem dzika, właśnie pozbawiającego mnie kanapek. Następne 10 metrów przebyłem w zaskakująco szybkim tempie, generując dużo hałasu, by pozbyć się natrętnego zwierzęcia. Jednak gdy dotarłem na dół, ujrzałem coś, co przyprawiło mnie o gęśią skórę i przyspieszone tętno. Węzeł, który wcześniej zawiązałem, został dość umiejętnie rozwiązany, a po moim plecaku nie było śladu.

Przez dłuższą chwilę nie mogłem oderwać wzroku od miejsca tego paranormalnego zdarzenia, w końcu jednak udało mi się wyrwać z uścisku paniki i ponownie złapać za linę. Czuję, że jeżeli zaraz nie wrócę na szczyt skarpy, to podzielę los swojego plecaka. Bezlitośnie naprężając wszystkie mięśnie pokonywałem kolejne metry piaskowej formacji, nieostrożnymi ruchami powodując ciągle skruszanie się piaskowca i drobne lawiny. W połowie drogi zrobiłem kilkusekundowy przystanek na krótką regenerację i otrzeźwienie umysłu. Gdy brałem głęboki wdech, potężne szarpnięcie liny omal nie pozbawiło mnie równowagi.

Nie miałem nawet czasu zareagować, gdyż nagle mych uszu dobiegł dźwięk głośnego, nierównomiernego dyszenia, którego właściciel najprawdopodobniej podążał moim śladem. Wiedziałem, że moją jedyną nadzieją jest pokonanie skarpy przed tym „czymś”. Przerazające odgłosy sprawiły, że prawie wbiegłem po pionowej ścianie, nie mając kontroli nad wykonywanymi ruchami. Szaleńczy pęd zatrzymałem dopiero, gdy na głowę spadła mi spora fala piachu. Z trudem go wykrztusiłem i otworzyłem oczy. Skierowałem wzrok ku górze, gdzie dostrzegłem przyglądającego mi się człowieka. Jego usta były wykręcone w nienaturalnym grymasie, oczy zaś... Trudno to opisać słowami, ale sprawiały wrażenie, jakby jarzyły się księżycową poświatą. Ten widok pozbawił mnie wszelakich emocji. Wwiercający się w moją czaszkę wzrok niczym Dementor powoli wysysał resztkę siły, jaka mi pozostała. Poczułem wszechogarniającą pustkę - nie strach ani panikę - ale pustkę. Lina mimowolnie wydostała się z żelaznego uchwytu mych dłoni, a ja runąłem w dół, przez ostatnie chwile delectując się euforią towarzyszącą spadaniu.

Ale chwila! Wszak czy to nie zastanawiające, że po kończącym moją egzystencję upadku byłem w stanie połączyć owe słowa w formę opowiadania? O tak! To potwornie zastanawiające, jednak odpowiedź wcale nie musi być oczywista.

- Kolejne wspaniałe rękodzieło! - wykrzyknąłem, odkładając kilka zapisanych kartek na półkę, która zawierała ich duży, posegregowany stos.

Sztuka jest moim życiem, przez co podchodzę do niej bardzo poważnie. Istotnym jest, by te wersy nie były wyssane z palca, ich piękno wywodzi się z rzeczywistych sytuacji, jakie opisują. Chociaż czasem lubię urozmaicić moje twory odrobiną fantazji, przykładowo mój „księżycowy” wzrok spotkał się z przerażonymi oczami chłopaka dopiero, gdy ten powtórnie wpelźł na szczyt klifu. Wtedy też nastąpił ten emocjonujący upadek, zaakcentowany gromkim hukiem...



WZGÓRZE TRZYGŁOWA

EMIL ZAWADZKI, WYRÓŻNIENIE

Książę Racibor obudził się w środku nocy z krzykiem i musiało minąć kilka chwil nim zrozumiał, że wcale nie odwiedził go zmarły tragicznie brat. Koszmarne spotkanie było tylko kolejnym złym snem, ale Racibor mógłby przysiąc, że wyraźnie słyszał głos świętej pamięci Warcisława, założyciela dynastii Gryfitów: “Walcz bracie, zrzuć nałożone na nas chrześcijańskie kajdany!”.

Książę wstał z łóżka i chwiejnym krokiem podszedł do okna. Potrzebował odrobiny świeżego powietrza. Raptem kilka dni temu wezwano go do Szczecina, żeby to on panował nad całym Pomorzem po śmierci Warcisława. Na domiar złego miał na głowie jeszcze wysłanych tu przez Bolesława Krzywoustego misjonarzy chrześcijańskich, którzy stale narzekali na to, że Racibor powinien skuteczniej krzewić wśród miejscowych nową wiarę.

Wszystkie zmartwienia zniknęły, kiedy książę zobaczył przez okno grupę ludzi wchodzących pod osłoną nocy do starej, nieużywanej już studni, która znajdowała się po drugiej stronie wzgórza zamkowego. Zdenerwowany Racibor wybiegł ze swojej sypialni i w samej koszuli nocnej zbiegł po drewnianych schodach. Nim dotarł do nietypowej kryjówki, zdążył już tam zniknąć ostatni człowiek. Książę zajrzał za kamienny okrag i ku swojemu zdziwieniu dostrzegł strome schody, biegnące spiralnie w głąb wzgórza. W jego nozdrza uderzył wtedy mocny trupi odór.

– Straż! – zawołał oburzony Racibor, ale żadnego wartownika nie było na posterunku. Książę nie był strachliwym człowiekiem. Coś złego wisiało w powietrzu i Racibor postanowił samodzielnie przekonać się, o co chodziło.

Przerzucił nogi przez osłone studni i zaczął schodzić powoli w podziemia, przez cały czas opierając się plecami o mur. Mężczyzna szybko pożałował, że nie zabrał ze sobą żadnej pochodni, bo po jakimś czasie zupełnie na ślepo musiał wyczuwać kolejne stopnie. Tymczasem nieprzyjemny odór śmierci stale się nasilał.

W końcu Racibor dotarł do wąskiego, niskiego korytarza, z którego dobiegały jakieś przytłumione szepty. Jako władca Szczecina książę nie mógł tolerować tajemnej komnaty, w której jego poddani najwyraźniej spiskowali przeciwko niemu. Ruszył w głąb mrocznego

tunelu, a po chwili do jego uszu dotarły pierwsze wyraźne słowa.

– Dziękujemy za kolejny cud, potężny Trzygłowie! Kolejny raz tchnij życie w poległego Warcisława, aby mógł służyć radą swojemu bratu...

Racibor zatrzymał się na chwilę, tuż za rogiem jakieś większej komnaty. Widział stąd mętny blask pochodni, które w niewielkim stopniu rozpraszały panujące tu ciemności. Słyszał już kiedyś, że to wzniesienie nazywano przed laty Wzgórzem Trzygłowa i było to miejsce pradawnego pogańskiego kultu. Mógł jeszcze wybaczyć świeżo ochrzczonej kultywowanie dawnych rytuałów, ale bezczeszczenie pamięci jego brata było nie do pomyślenia.

Wściekły Racibor wyrzwał za róg i zobaczył scenę, która zmroziła mu krew w żyłach. W sporej pieczarze zgromadziło się kilkanaście osób w długich, ciemnych szatach. Wszyscy trzymali pochodnie i zwróceni byli w stronę drewnianej rzeźby bóstwa o trzech twarzach. Najgorsze było jednak to, co znajdowało się u stóp posagu. Były to zwłoki jego świętej pamięci brata! Warcisław wyglądał jak upiór o zgnilej skórze i wystających w wielu miejscach kościach. Nagle zwłoki podniosły się samodzielnie, puste oczodoły zalśniły ogniem piekielnym, a z jego poczerniałych ust wydobył się złowieszczy skrzek.

– Ktoś tu jest! Chrześcijanin!

Racibor nie pamiętał swojej szaleńczej ucieczki przez podziemia i biegu po stromych schodach. Pamiętał tylko, że w chwili rozpaczy zaczął się modlić i uznał, że to dzięki temu został cudem ocalony przed mrocznymi siłami. To właśnie wydarzenia tej nocy sprawiły, że stał się gorliwym chrześcijaninem. Zapieczętował starą studnię, skazał kilku poddanych na śmierć i zlecił budowę kolejnego kościoła. Koszmary ustały, ale do końca życia Racibor obawiał się, że któreś nocy ponownie odwiedzi go upiorny brat i tym razem nie ograniczy się tylko do sączenia jadu w jego uszy.

WIGILIA

WALDEMAR ZIEMIĘCKI, WYRÓŻNIENIE

Wracalem po nadprogramowej sobocie do domu i byłoby wszystko dobrze, gdybym nie pomylił tych cholernych pociągów. Wpatrzony w ekran wsiadłem w pierwszy, który podjechał i dopiero mijane sagi drzewa uświadomiły mi, że jednak do domu nie dojadę. Wyjścia nie było, wysiadłem w Kliniskach i poszedłem na główną, może coś złapię z powrotem do Dąbia. Absurd, przecież to Wigilia 2021 i wszyscy siedzą w domach, już nie mówiąc o pandemii. Cudem nawinał się jakiś koleś i podrzucił mnie na rondo Gryfa, bo spieszył się na autostradę. I tak dobrze, jeszcze tylko 3 km z buta i na ostatni do Stargardu zdążę.

Skróciłem drogę przez Tczewską, zawsze lubiłem patrzeć na świąteczne dekoracje. Wejherowską wszedłem w Młyńską, tam bruk miał swoją magię. Niestety, przenikliwe zimno i ciemność nie pozwalały mi się cieszyć spacerem. Byle szybciej.

Przedemną zamajaczyły pozostałości starej bramy; popisane, popękane, a jednak czuć w nich było potężny fragment historii. Zaśmiałem się w głowie: „oto przekraczam bramy piekiel” – dobry tekst, szczególnie w Wigilię.

Mijając bramę, zerwał się lekki wiatr. No nic, muszę przecierpieć, to już niedaleko.

Po prawej stronie w parku zamajaczyło migające światło i zaczęły dochodzić do mnie jakieś dziwne dźwięki.

Ognisko ktoś urządza? - w sumie, dzisiaj młodzi na bakier ze świętami robią dziwne rzeczy. I tak lepiej, niż samemu w domu.

Dźwięk - a właściwie muzyka - nasilała się, a i blask był coraz wyraźniejszy. A zajrzę, zobaczę, może jakieś fajne towarzystwo. Skręciłem do parku, czy jak tam to teraz zwa, chyba skwerem Świetlińskiego i po stu metrach wszedłem na imprezę przy ognisku.

Magnetofon ryczał jakieś retro z lat 80, muzyka mojego dzieciństwa. Piwo, wino, rozbawione towarzystwo poprzebierane w jakieś ciuchy z lumpeksu bawi się, pije, tańczy – stanąłem jak wryty.

Tak to można żyć – pomyślałem - i nagle ją dostrzegłem!

Te piękne zielone oczy, burzę włosów w tańcu i nie mogłem przestać na nią patrzeć. Dom odpłynął, powrót też. „Gdzie się uchowały takie dziewczyny”?

- Jak to gdzie – tutaj! - nagle zabrzmiał obok mnie perlisty, drwiący głos i spostrzegłem ją obok siebie!

„Czy ja to powiedziałem na głos”?

- Przepraszam, ale wracałem, przypadkowo zauważyłem ognisko i hałas, ale

- Daj spokój! Basia jestem, a to... - wymieniła wszystkich, ale właściwie nie zapamiętałem żadnego imienia, zresztą nie było to dla mnie ważne.

- Chodź do nas, dobrze się bawimy, mamy wino, piwo, co tam sobie chcesz – dzisiaj przyjmujemy zbłąkane dusze – rzuciła z dziwnym uśmiechem.

Nie mogłem odmówić – ostatnia myśl o powrocie do domu zniknęła po chwili jak zdmuchnięta świeca.

W sumie, co miałem do stracenia? Popiję, pobawię się, może z Baśką coś się ułoży, trzeba korzystać, bo drugiej szansy nie będzie.

Jutro spokojnie się wyśpię, w końcu święta i szef nie będzie mi już zawracał gitary po dzisiejszej orce.

Czas na rozmowie z Basią upływał w sposób niezauważony. Złapałem się na tym, że wpatruję się w jej oczy błyszczące coraz większą czerwienią, pewnie od ogniska. Reszta towarzystwa, zajęta sobą, kompletnie nie zwracała na nas uwagi.

Alkohol zrobił swoje i zmęczenie ogarnęło mnie w pewnym momencie, kontury zaczęły się rozmazywać, towarzystwo zaczęło znikać po krzakach, a Basia pociągnęła mnie w końcu do tańca przy ognisku. Nie pamiętam, żebym tak dobrze się bawił. Chwilę przed dwunastą w końcu mnie pocałowała, a właściwie zaczęła całować, albo ja ją. Wszystko się zlewa.

Oczy, ognisko, Basia, ogień, jest cudownie, kocham ją ...

Gośka, jak co dzień rano, biegła po skwerze. Stała trasa - święta nie były żadną wymówką. Tym razem sto metrów przed Młyńską - którą dalej biegła dookoła przez mostek nad Płonią - zauważyła resztki starego ogniska, zagapiła się, zahaczyła o coś i poleciała prosto na trawę.

Co za cholerny korzeń! Korzeń?

Po chwili drżącą ręką wybierała 112.

Pół godziny później policja z Dąbia zabezpieczyła teren, potem weszła grupa archeologów... Znalezione nadgryzione spalone szczątki młodego mężczyzny sprzed 30 lat...



KONKURS GRAFICZNY

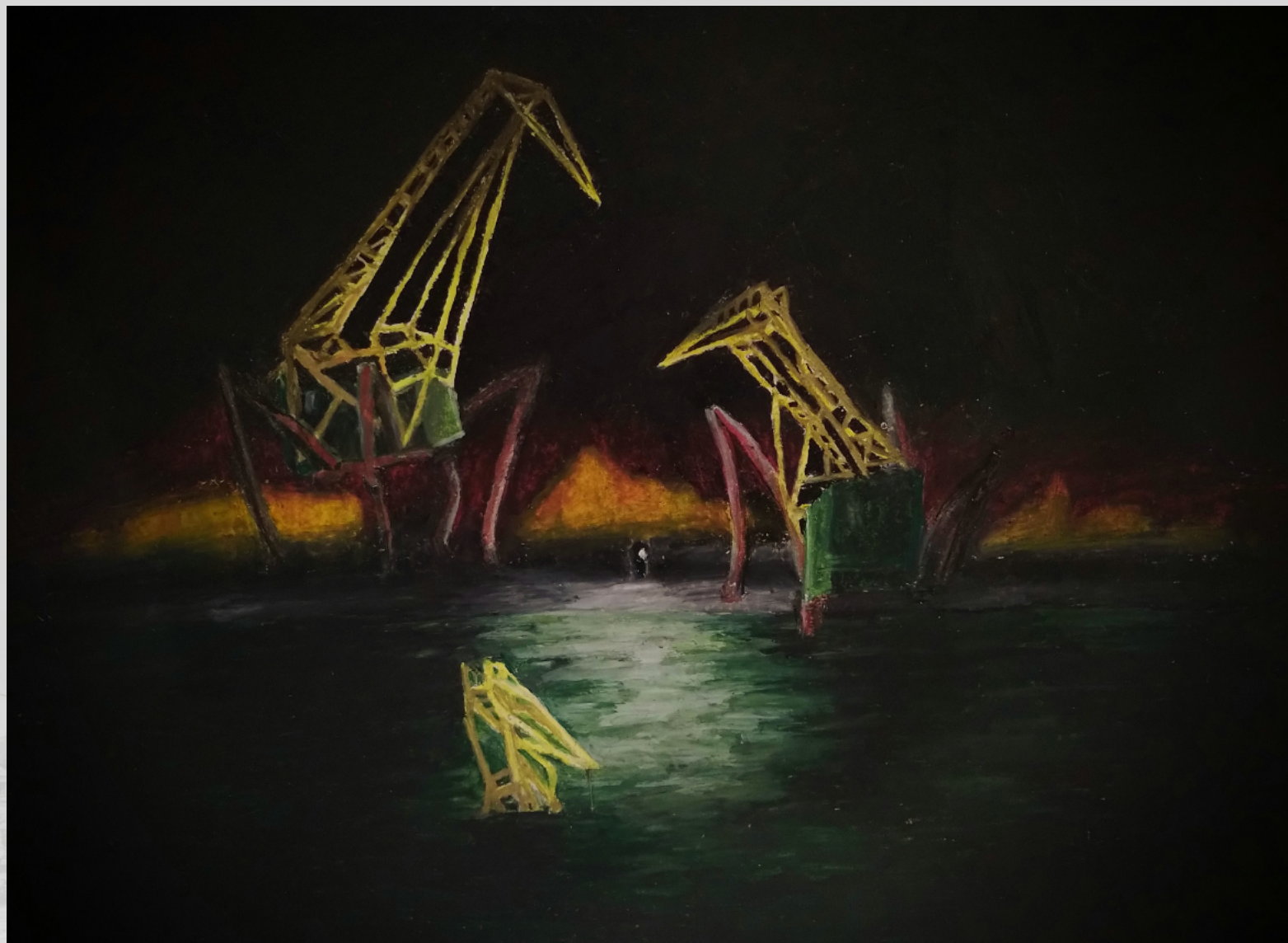


Fot. Agnieszka Klejba

III SZCZECIŃSKIE SPOTKANIE Z DRESZCZYKIEM

DŹWIGOZAURY

HANNA WOLSKA, I MIEJSCE



ŻNIWIARZ BEZ GŁOWY, ŻNIWIARZ Z JASNYCH BŁONI

KACPER MIKUŁA, II MIEJSCE



SYDONIA I SZCZECIN, NA ZAWSZE RAZEM!

SARA KRAWCEWICZ, III MIEJSCE



HORROR FLOATING GARDEN 2050

ADRIANNA BIEŁOWIEC, WYRÓŻNIENIE



OSTATNI OMEN

ADAM IGNACZAK, WYRÓŻNIENIE



SYDONIA VON BORCK

NIKOLA KUSIAK, WYRÓŻNIENIE



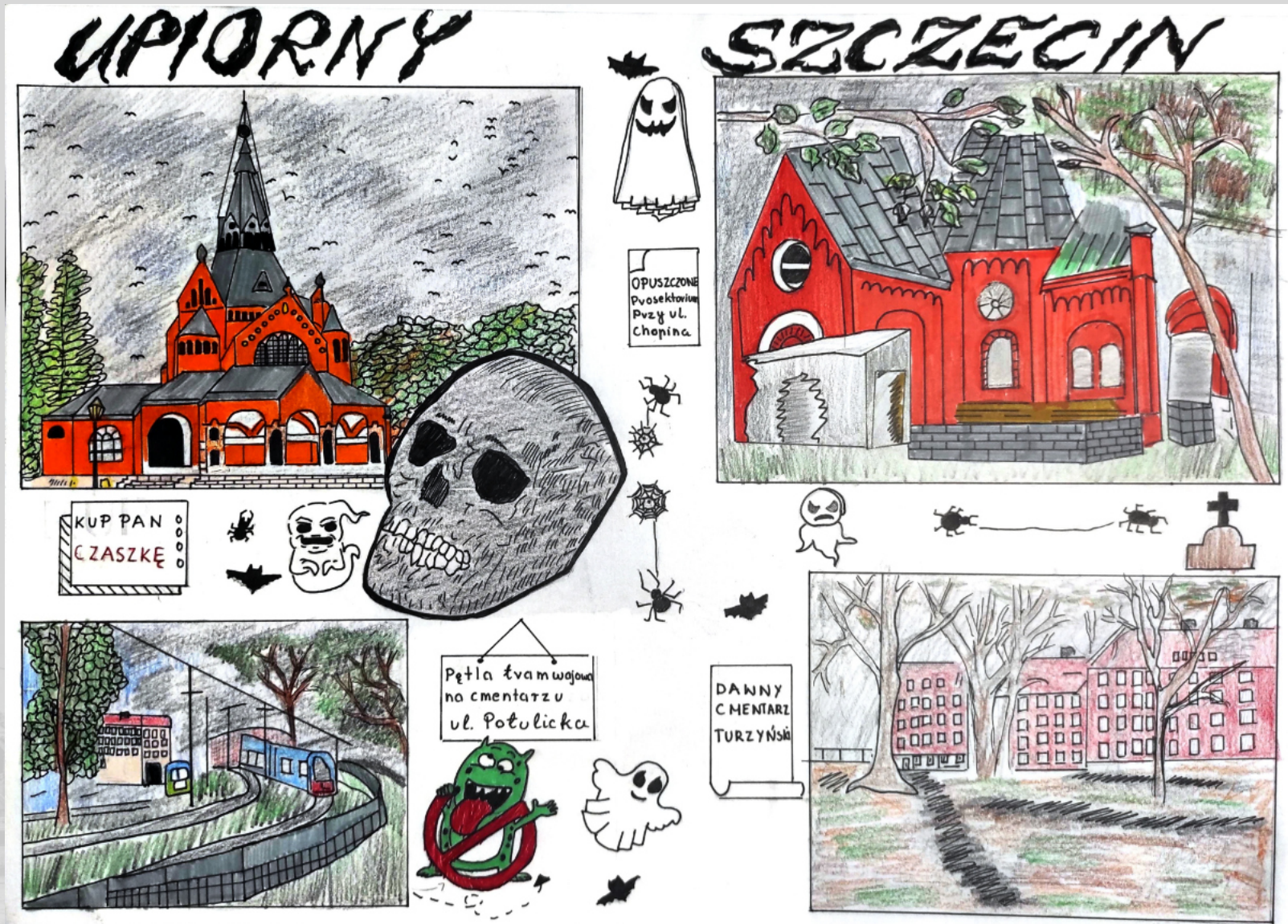
ŚMIERĆ W PROSEKTORIUM

KAROLINA OSAJDA, WYRÓŻNIENIE



UPIORNY SZCZECIN

ZOFIA TRUSEWICZ, WYRÓŻNIENIE



CHOWANIEC

STOWARZYSZENIE KULTURALNO EDUKACYJNE

ZAPRASZAMY DO KONTAKTU

f facebook.com/stowarzyszeniechowaniec

🌐 www.chowaniec.org

✉ stowarzyszenie.chowaniec@gmail.com

📺 youtube.com

GRATULUJEMY ZWYCIĘZCOM!



Fot. Agnieszka Klebja

III SZCZECIŃSKIE SPOTKANIE Z DRESZCZYKIEM